

# WRZESIEŃ

**Dotychczas ukazały się:**

1. Ewa Białołęcka – Kamień na szczycie  
(Kroniki Drugiego Kręgu. Księga II)
2. Iwona Surmik – Talizman złotego smoka

**W przygotowaniu:**

- Anna Brzezińska – Opowieści z Wilżyńskiej Doliny

# TOMASZ PACYŃSKI

# WRZESIEŃ



Agencja Wydawnicza  
RUNA

WRZESIEŃ

Copyright © by Tomasz Pacyński, Brok 2002

Copyright © for the cover illustration by Robert Adler

Copyright © 2002 by Agencja Wydawnicza RUNA, Brok 2002

Wszelkie prawa zastrzeżone

All rights reserved

Opracowanie graficzne i projekt okładki: Fabryka Wyobraźni

Redakcja: Adam Zambrzycki, Jacek Ring

Korekta: Jadwiga Piller

Skład: Tomek Laisar Fruń

Druk: Drukarnia GS Sp. z o.o.

30-701 Kraków, ul. Zabłocie 43

Wydanie I.

Brok 2002

ISBN: 83-917904-2-8

Wydawca: Agencja Wydawnicza RUNA

A. Brzezińska, E. Szulc, sp. j.

07-306 Brok, ul. Pułtusza 22 lok. 19

Informacje dotyczące sprzedaży hurtowej, detalicznej i wysyłkowej:

Agencja Wydawnicza RUNA

Biuro handlowe: 00-844 Warszawa, ul. Grzybowska 77 lok. 434

tel./fax: (0-22) 45 70 385

e-mail: [runa@runa.pl](mailto:runa@runa.pl)

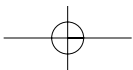
*Zapraszamy na naszą stronę internetową:*

**[www.runa.pl](http://www.runa.pl)**

# WRZESIEŃ

*...Szedł z bagnetem na czołgi żelazne  
Ale przeszły, zdeptały na miazgę...*

Władysław Broniewski, *Polski żołnierz*



Za Ostrowią szosa opada z niewielkiego wzniesienia i wchodzi w sadzone równo jak pod sznurek sosnowe lasy, resztki Puszczy Białej, wyrastające z podlaskich piasków, oznaczone łąkami i jałowymi polami. Rozrzucone gdzieś tam wieś to w istocie chałupy stojące przy spłachetkach uprawnej ziemi. Koślawe mostki i brody przecinają wąskie strugi, nadają się co najwyżej dla furmanki lub pędzonych jedna za drugą krów.

Wrzesień był suchy, nawet upalny. W ostatnie dni lata liście żółkły już i czerwieniały, a w coraz niżej świecącym słońcu srebrzyły się nitki babiego lata. Od tygodni nie spadła kropla deszczu. Leśna ściółka była sucha, a na łąkach stała wysoka, nieskoszona trawa.

Trawa wyschnie i poszarzeje do końca. Nie stanie w stogach, nikt nie zwiezie jej do stodoł. Pochyła ją jesienne wiatry i słoty, a pierwsze śniegi przygną do ziemi.

Albo spłonę, jak na tej łące, aż do rowu melioracyjnego, gdzie płomienie musiały się zatrzymać, niewspomagane wiatrem, który przerzuciłby je nad wąską przeszkodą. Nie pomogło nawet paliwo lotnicze, spalony wrak samolotu tkwił zbyt daleko. Z pobocza drogi ledwie można było dostrzec godło jednostki na nietkniętym przez ogień, połyskującym w słońcu metalem usterzeniu.

Płomienie pochłonęły kadłub maszyny. W zwęglonym kręgu wypalonej ziemi sterczały wręgi kadłuba i zaryty głęboko okopcony blok silnika. Nienaruszone wydawały się jedynie końcówka jednego skrzydła i oderwany w chwili uderzenia ogon.

Siedzący na krawędzi przydrożnego rowu znużony żołnierz opuścił dłoń, którą osłaniał oczy przed nisko stojącym na niebie słońcem. Ostatnio oglądał zbyt wiele takich widoków. Nie wytężał nawet wzroku, by przekonać się, czy maszyna należała do pułku w Mińsku Mazowieckim, czy może w Radomiu.

Spoczywała tu co najmniej od dwóch tygodni. Od samego początku wojny, kiedy szybko wykruszyła się słaba obrona powietrzna. To w sam raz, by zdążyć wystygnać rozpalony dural, a wiatr rozsypał popioły. W sam raz, by kolumny pancerne przełamały opór i opanowały cały kraj. W sam raz, by przegrać wojnę.

Trochę więcej niż dwa tygodnie. Dokładnie – osiemnaście dni.

Żołnierz schylił się, dociągnął sprzączki buta.

Za stary na to jestem, pomyślał. Czuł ciężar swoich prawie pięćdziesięciu lat. Fizyczne zmęczenie, głód, ból otartych stóp i stawów, odzywający się tępo po nocach pod gołym niebem, które dobre może były dla zajęcia w bruździe, ale nie kapitana rezerwy.

– Na co mi, kurwa, przyszło – mruknął, mocując się z oporną sprzączką.

Buty nie były najlepsze, jak wszystko, co fasowali rezerwiści i ochotnicy. Broń pamiętała czasy tuż po poprzedniej wojnie. Oporządzenie, któremu daleko było do regulaminowego, stanowiło dziwną zbieraninę remanentów gromadzonych skrzętnie przez zapobiegliwych sierżantów. A buty, przechowywane latami w jakimś przepastnym magazynie, nie były przystosowane do kontaktu z kurzem i błotem.

Wyfasowanej broni już dawno nie miał. Gdy wystrzelał, zresztą Panu Bogu w okno, wszystko, co miał w ładownicach, okazało się, iż żadna z ocalałych służb logistycznych nie dysponuje nabojami tego kalibru. Z czystym sumieniem cisnął więc karabin do rowu, tym bardziej że w rekrutacyjnym bałaganie nikt nie wpisał do książeczki numeru broni. Wziął nowy, radomski karabinek, do którego amunicji było ile dusza zapagnie.

Trzeba się ruszyć, pomyślał niechętnie, przyglądając się popękanej podeszwie buta. Zejść z tej drogi, wygodnej wprawdzie, wiodącej prosto do celu, ale niezbyt bezpiecznej. Iść dalej lasem, oni unikają lasu, wolą wojować na drogach lepszej kategorii.

Trzeba ruszać... Z rozsądkiem walczyły ból i znużenie, które towarzyszyły mu we wszystkie dni samotnego przedzierania się spod Mławy, przez zajęty już obszar. Samotnego odwrotu, odkąd na wycofującą się w nieładzie, przemieszana z wozami uchodźców kolumnę spadły z pustego nieba myśliwce.

Trzeba ruszać... Z wysiłkiem wstał i narzucił na ramiona ciężki, także pochodzący chyba z poprzedniej wojny szynel, urągliwie zwany szynszylem. W ciężkim płaszczu w tę pogodną jesień było potwornie gorąco. Ale przydawał się podczas zimnych nocy, srebrzących się nad ranem rosą, która wkrótce przemieni się w szron. A w lesie, gdy trzeba spać pod zwiśającymi do samej ziemi łapami świerków, na pachnącym, sprężystym materacu z igliwia, był wręcz niezbędny. W lesie, który po raz kolejny w naszej popieprzonej historii stawał się ostatnim schronieniem.

Nie zrolował płaszcza, nie przypiął do plecaka. Pod płaszczem można było ukryć karabinek, myśliwskim sposobem zawieszony na ramieniu lufą w dół. Ten sam, który na nic mu się nie przydał w ostatnim starciu, gdy wtulał się w ziemię przed sunącym nań potworem. Broń szarpała się wstrząsana podrzutem, pociski krzeszały na pancerzu iskry, a w głowie kołatał się ponury dowcip, krążący w kompanii od samego początku wojny. O tym, jak to kaprał szkolił rekrutów w zwalczaniu czołgów. Ano, pchać bagnietem w te śpary...

„Śpary” nie było. Zamiast niej ujrzał połyskujące pancerne szkło peryskopu, widoczne doskonale, gdy czołg zatrzymał się kilka metrów przed płytkim okopem, na którego dnie się skulił. Chropawy pancerz pokryty plamami kamuflażu przypominał gadzią skórę, powyginane błotniki, błyszczące traki gaśienic, zawieszone tuż nad okopem, w każdej chwili mogły wgnieść w ziemię tę małą bryłkę mięsa i oporządzenia, w którą się zamienił.

Zobaczył błysk i cofającą się lufę działa, a potem poczuł miękkie uderzenie w twarz i zdziwienie, że nie słyszy huku. Ostatnie, co pamiętał, to pułk grenadierów pancernych przetaczający się przez ich pozycje.

Narzucił plecak i podskoczył w miejscu, by sprawdzić, czy nie brzęczy oporządzenie. Uśmiechnął się krzywo. Nabrał nawyków, a przecież minęło zaledwie kilka dni. Szybko... Inna sprawa, że ci, co ich nie nabyli, już raczej nie będą mieli okazji.

„O Jezu, panie kapitanie...”. Szybko awansował, zaledwie w tydzień z podporucznika rezerwy do stopnia kapitana, dowódcy batalionu. Całkiem nieźle jak na rezerwistę. Przed popadnięciem w dumę uchroniło go, iż z batalionu dałoby się wtedy łączyć niepełny pluton.

Dowodzenie nie trwało zresztą długo. Zdążył zorganizować oborną jakąś bezimiennej wioski, bo mapnik diabli wzięli razem z poprzednikiem, po którym został tylko duży lej w ziemi i pasek, właśnie od owego mapnika, bo z samego dowódcy nie zostało nic, co dałoby się zidentyfikować. Beznadziejną walkę nakazał po trzeźwej uwadze sierżanta: „Kurwa, już nie ma dokąd spierdalać”. A kapitulacja przed rozwijającymi się właśnie do natarcia nieprzyjacielskimi czołgami rokowała niewielkie nadzieje wobec stosowanej przez nie taktyki, która polegała najpierw na ostrzale wszelkich potencjalnych miejsc oporu, potem zaś na frontalnym ataku. Przeciwnik nauczył się tego szybko,

nie napotykać obrony przeciwpancernej i po szybkiej eliminacji nie-licznych przestarzałych czołgów.

Jedynym wyjściem było ukrycie się w możliwie najlepiej osłoniętych miejscach i przeczekać ostrzał. Czołgi rozjechały w końcu wioskę, pozostawiając za sobą rozrzucone, płonące belki chałup i rozwalone kominy. Potem ruszyły dalej, nie poświęcając uwagi pozycji, z której padły nieszkodliwe strzały. Nieprzyjaciel nie zwracał sobie głowy jeńcami, parł dalej na wschód, by zgodnie z założeniami uchwycić jak największą część terenu. Dopiero później mieli nadzieję ci, którzy zajmą zdobyty obszar.

Nie pamiętał, jak w zasnutej dymami pożarów wiosce zebrała się resztką batalionu, z którego pozostała zaledwie drużyna, ani jak podniesiono go z rozrytego gąsienicami okopu. Ocknął się dopiero na skrzyni trzęsącej się ciężarówką, na wyboistej, wypełnionej uchodźcami drodze.

„O Jezu, panie kapitanie...”. Wykrzywiona grymasem twarz młodego żołnierza w przekrzywionym hełmie na tle ciemniejącego nieba, które zaraz rozpałi się ogniem wybuchów... Jak zatrzymana w kadrze ciemna sylwetka samolotu...

Dość wspomnień. Pora zejść z drogi, pomyślał znowu.

\* \* \*

Za Ostrowią droga opada w dół z niewielkiego wzniesienia. Biegnie prosto aż do zakrętu za samotną leśniczówką albo gajówką. Podszyty jałowcami las gęstnieje, znikają akacje i zdziczałe śliwy ałyczne, porastające rowy w pobliżu miasta.

W prawo odchodzi porządny szutrowy trakt, wiodący przez Nagoszewo i Turkę aż do Broku, do mostu na Bugu. A właściwie do miejsca po nim, ponieważ podzielił los większości mostów, zniszczonych w pierwszych godzinach wojny, gdy bomby spadły na przeprawy.

Nieważne, pomyślał, maszerując po chrzęszczącym żwirze. Lato suche, Bug nie jest głęboki. W czasie wakacyjnych wypraw w zamierzonych, przedwojennych czasach, poznał miejsca, gdzie rzekę można przejść w bród, zwłaszcza przy niskim stanie wody. Pamiętał też typowe podlaskie łódki. Wąskie puchówki z sosnowych, smołowanych desek,

ukrywane w nadbrzeżnych zaroślach, przykute łańcuchami do pni rosnących nad brzegiem olch. Może jakąś znajdzie.

Słońce stało jeszcze wysoko. Miał nadzieję, że przed zmierzchem dotrze nad rzekę, do której pozostało tylko dwanaście kilometrów, nieco dalej niż wygodną, acz niebezpieczną szosą. Zamierzał zejść z szutrowej drogi i ruszyć skrajem lasu. Nie przypuszczał, by wróg obsadził tak nieistotne, leżące na uboczu miejscowości, ale należało się obawiać patroli zmotoryzowanych. Prawda, w Turcji jest szkoła... Duża, znakomicie nadająca się na punkt łączności albo posterunek opl. Tym bardziej trzeba ją ominąć.

W lesie było chłodniej, ciężki płaszcz za bardzo nie dokuczał. Zbity i wilgotny żwir pod nogami już nie chrząścił, droga biegła właśnie niższymi, bagnistymi partiami lasu, mokro tu było nawet w środku upalnego lata. Uśmiechnął się, przygryzając wargi, przyjeżdżał tutaj na grzyby, albo po prostu mijał to miejsce, gdy udawał się do Ostrowi po zakupy.

Las tłumi odgłosy, a rozmyślenia nie sprzyjają ostrożności. Gdy wspominał, jak kiedyś, właśnie w tym miejscu, oparł rower o drzewo i rozciągnięty na mchu spoglądał długo w snujące się po błękitnym niebie cumulusy, zachrząścił szuter pod oponami szybkiego pancernego wozu rozpoznawczego.

Zamarł na środku drogi, zdając sobie sprawę, że za późno, by uskokczyć i schronić się w lesie, jak na złość wysokim, z rzadko rozrzuconymi jałowcami. Wiedział, że daleko nie odbiegnie w ciężkich butach, które grzęzłyby w jagodowisku. W każdym razie nie na tyle, by nie dopędziły go pociski z MG.

Mógł tylko zejść na pobocze, powoli, nie robiąc gwałtownych ruchów. Patrząc na zbliżający się wóz z nadzieją, że nie zmarnują amunicji na kolejny odpad pokonanej armii.

Nie odwrócił wzroku, gdy wielkie, żebrowane opony przetaczały się obok niego, pryskając kamykami. Wiedział, że to niezbyt rozsądne, ale popatrzył prosto w twarz wychylonego z wieżyczki żołnierza, tam gdzie za zakurzonymi goglami spodziewał się dostrzec oczy. Nie dostrzegł. Jedyne czarne oko lufy kaemu, prowadzone przez grenadiera, spozierało przez cały czas gdzieś na sprzączkę jego pasa.

Bezmyślnie rejestrował szczegóły, wciąż czekając, aż wyraźnie widoczna dłoń w czarnej rękawicy zaciśnie palec na spuście, karabin

szarpnie zwisającą z boku taśmę, której koniec niknął w skrzynce amunicyjnej z przetłaczanej blachy.

Czarne oko lufy zniknęło. Grenadier nie chciał zadawać sobie trudu i obracać dalej broni. Nie uznał oficera w obszarpanym płaszczu i koślawych butach za wartego kilku naboii.

Wóz rozpoznawczy ryknął gwałtownie otwartą przepustnicą i przyspieszył. Spod ośmiu kół trysnęły fontanny żwiru.

Nie poczuł ulgi, nie miał na to czasu. Zza zakrętu drogi z charakterystycznym niskim dudnieniem i szczękiem gąsienic wytoczyło się cielsko czołgu. Za nim drugie. I jeszcze następne. Plamy słońca prze-filtrowane przez gałęzie pełgały po pancerzach znaczonych na wieżach czarnymi krzyżami.

Ludzie w otwartych włazach nie byli równie czujni, jak kaemista w wozie rozpoznawczym, nie mieli nawet hełmów, tylko czarne furażerki. Pokazywali palcami stojącą na poboczu samotną postać.

Oni unikają lasu, wolą dobre drogi, otwarte pola. Czołg w lesie jest ślepy. Tu jesteśmy bezpieczni, mamy przewagę. Kolejna utarta prawda, powtarzana do znudzenia ku pokrzepieniu i tak dalej... Jak ta, niegdysiejsza, że ich czołgi są z tektury. Nie sforsują więc Wisły, bo się rozkleją.

Wytrzymał rozbawione spojrzenia, radosne okrzyki ginące w huku silników. Stał z podniesioną głową, zdając sobie sprawę, jak wygląda w obszarpanym płaszczu, przedpotopowej czapce, z kilkudniowym zarostem na zapadniętej twarzy. Spoglądał prosto na nich i widział, jak pod tym spojrzeniem zamierają szydercze uśmiechy, jak oczy pod furażerkami stają się stalowe i pozbawione wyrazu.

Kierowca szarpnął dźwignię. Gąsienica na chwilę zamarła, czołg zarzuciło na pobocze. Oficer pokonanej armii wpadł do płytkiego rowu, obsypany piachem i żwirem wyrzuconym spod gąsienic. Gdy podniósł głowę, klnąc i plując piaskiem, poprzez oddalający się odgłos silnika przebił się szyderczy, zadowolony gardłowy rechot.

\* \* \*

Rzeczka nazywała się tak, jak miejscowość – Turka. Przypominała zwykłą strugę zasilaną opadami z pól – płytką i wąską. W oddali jej bieg znaczyły tylko wysokie olchy, przecinające pasmem łąki.

Figurowała jednak na mapach, nawet tych mniej szczegółowych. Woda była taka jak niegdyś, zimna i czysta, wartko płynęła po żwirowym dnie. Przynosiła ulgę otartym, opuchniętym stopom.

Postanowił przenocować w jałowcach na skraju lasu i zjeść ostatnią konserwę, ostatnią z tych, które przed kilkoma dniami zabrał z rozbitej ciężarówki. *Schweine Zungen*, ozorki w galarecie. Wkrótce będzie musiał się rozejrzeć, zaryzykować nawet zajście do chałupy. Czeka go daleka droga, a trzeba jeść.

Wyraźnie widoczne na horyzoncie zabudowania wyglądały na niepokojące wojną. Jakby nic się nie wydarzyło. Jedynym niepokojącym elementem była wznosząca się nad nimi cienka igła z ledwie widocznymi odciągami.

Masztenowy, spostrzegł, wyęzając wzrok, gdyż lornetkę stracił już dawno. Domyślał się, że Turkę już zajęli, może założyli punkt łączności, może stanowisko opl. Położenie było dogodne, blisko szosy tranzytowej pomiędzy Wyszkowem a Ostrowią Mazowiecką. W ciszy zmierzchu nawet z tak daleka słychać było dudnienie posuwających się nią transportów.

Spotkanie z pancernym patroliem w lesie wytrąciło go z chwiejnej równowagi, w której znajdował się od początku powrotu z przegranej wojny. Ale gdy starał się spokojnie o tym myśleć, doszedł do dość pocieszającego wniosku. Wróg nie polował na poszczególnych nieuzbrojonych żołnierzy, nie starał się ich wziąć do niewoli. Pewnie miał dość kłopotu z tymi, których już złapał.

Okazało się, że decyzja, by nie zrzucić munduru i nie szukać cywilnych łachów, była właściwa. A może inaczej, nie była z gruntu niewłaściwa. Nie wiedział, czy cywil, jeden z rzeszy uchodźców, nie poradziłby sobie lepiej. Ale nie chciał po prostu zginąć w gromadzącym się w miasteczkach i obozowiskach tłumie, który pod czujnym okiem zwycięzców tłoczył się wokół kotła z zupą.

To nie było świadome postanowienie, wynikające z odmowy złożenia broni, kontynuacji walki, niepoddania się. Raczej brak decyzji, logiczne następstwo ostatnich tygodni, podczas których czuł się porwany przez rozgrywane się wydarzenia. Kiedy o kolejnych posunięciach rozstrzygano najwyżej kwadrans wcześniej. A najczęściej decydowano za niego.

Chciał tylko wrócić. Przecież zawsze się wraca. Nawet jeśli nie ma do czego.

Przedwieczorna cisza usypiała, a obolałe nogi drętwiały w zimnej wodzie.

Podobno zawsze jest czas, gałązka trzaśnie pod butem skradającego się, zadźwięczy sprzączka oporządzenia. Wystarczy go, by sięgnąć pod płaszcz, chwycić karabinek i poderwać się w półobrocie. Wymierzyć, nacisnąć spust...

– O Jezu!

Zarośnięta gęba wykrzywiona strachem.

Cicho podszedł, sukinsyn, pomyślał, opuszczając broń.

Wstał, starając się nie spuszczać z oka przestraszonego chłopca. Syknał z bólu, gdy stanął bosą stopą na ostrym, ukrytym w trawie kamyku.

– O Jezu, to ja... – jęknął chłop, jakby to wszystko wyjaśniało.

Oficer kiwnął głową, odkładając karabinek. Usiadł, wciągając skarpety na mokre, uwalane piaskiem stopy.

Chłop przykucnął obok, spoglądał z ukosa na wymykające się spod czapki siwe włosy. Wyciągnął zgniecioną paczkę papierosów.

– Pan kapitan z rezerwy... – mruknął.

Nie zabrzmiało to jak pytanie, toteż nie uzyskał odpowiedzi.

– Z rezerwy... – powtórzył chłop mrukliwie i smarknął. – Widać... – dodał zupełnie niepotrzebnie.

Wydłubał pękniętego papierosa, splunął na palec, starannie skleił bibułkę i wetknął do ust. Zmitygował się po chwili, ukazując w uśmiechu nieliczne zęby. Wyjął papierosa.

– Pan kapitan zapali... Tak z ręki, ale ostatni był...

Pan kapitan dociągał rzemyki kamaszy, czując, jak skręcają mu się wewnątrz. Ostatniego wypalił przed dwoma dniami, popekany, zaśliniony papieros przyciągał wzrok.

A żeby go, z ręki, pomyślał. O gębie nie powiedział... Darowanemu koniowi...

Spojrzał łaskawiej na zarośniętego mieszkańca Kurpiów i Podlasia. Papieros nie miał ustnika, dlatego mógł włożyć go w usta niezaslinioną stroną. Niecierpliwie szcęknął pretensjonalną, benzynową zapalniczką, jedyną pamiątką po koledze, również rezerwistcie, i zaciągnął się chciwie.

– A zostaw pan trochę popalić, to ostatni – przypomniał chłop.

\* \* \*

Chłop szedł pierwszy, utyskując i zionąc przetrawioną wódką. Front, który niedawno przetoczył się przez okolicę, nie zmienił w niczym zwyczajów ludu. Zresztą z nieskładnych, przerywanych przekleństwami wynurzeń wynikało, że tutaj zapuszczały się tylko patrole. Główne uderzenie poszło bokiem, na Małkinię i Białystok.

Dotarli do opłotków z rozpadających się sztachet i zardzewiałego drutu kolczastego. Zapadł już zmierzch i zabudowania z ciemnymi oknami wyglądały na wymarłe.

Żołnierz włókł się za chłopem. Wymoczenie nóg w strudze niewiele pomogło; gdy włożył kamasze, stopy piekły jak przedtem. Ale w perspektywie miał nocleg, jeśli nie w chałupie, to przynajmniej na sianie w stodole. Może szklankę mleka, a nie tylko obiecywaną przez cały czas gorzałę.

– Psia... Przecie żem rozplątał, jak do was szłem... – Chłop mocował się z opornym drutem. – A, może to tamój, nie tutaj...

Przerdzewiały drut puścił. Zresztą można było sobie darować rozplątywanie, pojedyncze pasmo zwisało wystarczająco nisko nad pastwiskiem, by je bez trudu przekroczyć.

– To się chłopaki ucieszą, oficer z bronią...

Gdy do rezerwisty dotarła treść mamrotania zarośniętego przewodnika, stanął jak wryty i szarpnął chłopą za ramię.

– Zaraz! – Opadło zmęczenie, znów był czujny i nieufny. – Jakie chłopaki?

– Nasze! – W mętnych oczach błysnęło zdziwienie. – Nasze chłopaki, wojsko przecie, nasze... Nie mówiłem?

– Nie mówiliście, dobry człowieku... – Rezerwista zgrzytnął zębami, nie hamując złości.

Chłop zamarł z otwartą gębą. Wprawdzie nie wyglądał na bystrego, a i stan permanentnego nasączenia bimbrem, w którym znajdował się co najmniej od kilkudziesięciu lat, nie sprzyjał dodatkowo orientacji. Ale nawet on wychwytił nutę gniewu w głosie kapitana.

W rozbieganych oczach błysnęła podejrzliwość. Stracił dłoń żołnierza.

– A co to, panie kapitanie? – spytał wolno. – Co wy tak?

Rezerwista mruknął coś pod nosem i odwrócił się. Nie miał zamiaru tłumaczyć wszystkiego, co sam wiedział i widział. W pojedynkę miał znacznie większe szanse. Byli już tacy, co próbowali tworzyć grupy, licząc na to, że będzie łatwiej zdobyć żywność i się obronić.

Tak to wyglądało w teorii.

W praktyce było zgoła inaczej. O ile najeźdźcy lekceważyli pojedynczych, nawet umundurowanych żołnierzy pokonanej armii, o tyle na grupki, choćby najmniejsze, zawzięcie polowali. W najlepszym wypadku kończyło się to za drutami tymczasowych obozów jenieckich. Ale bywało gorzej.

– Może wyście dezenter albo i co... – Chłop splunął soczyście.

Rezerwista, mimo złości, roześmiał się tylko, zbijając chłopca z pantałyku.

Dezenter, pomyślał rezerwista, patrząc na chłopca, który zsunął na tył głowy beret z antenką i drapał się stropiony po skudlonych włosach. Ciekawe, skąd tu można zdezenterować. I ewentualnie dokąd.

– Bo wie pan, panie kapitanie...

Już lepiej, znowu jestem kapitanem, pomyślał.

– Wie pan, różni się tu kręca...

– Jacy różni? – zapytał ostro.

Chłop zdecydowanym ruchem nasunął beret na czoło.

– Ano, różni... Dezenterzy... I tacy, no...

Nie ma pojęcia, z kim ma do czynienia, zrozumiał żołnierz. Zobaczył mundur i dystynkcje. A teraz nie wie, czy nie zabrnął w coś, z czego się nie wyplącze.

Kątem oka dostrzegł błysk nieufnego spojrzenia. Cholera by go...

– Posłuchajcie, gospodarzu – zaczął. – Ja chcę tylko przenocować, rano sobie pójdę. Wracam do domu, wojna się skończyła...

To nie była cała prawda. Owszem, wojna się skończyła. Lecz domu nie miał, zanim wyruszył na tę wojnę. Potrząsnął bezradnie głową, nie potrafił z siebie wydusić nic więcej.

O dziwo, to przekonało nieufnego chłopca. Gdzieś w głębi zamrozonego umysłu błysnęło zrozumienie. I coś na kształt współczucia.

Zarośnięty chłop już wiedział, że nie stoi przed nim dezenter ani wysłannik kryjącej się w lesie bandy maruderów. Ponownie poskrobał się po czuprynie, zsunąwszy beret na ucho.

– Nic to... – mruknął z zakłopotaniem. W twarzy skrytej w ciemniejącym mroku błyskały tylko przekrwione białka.

– Nic... – dodał po chwili, niezdeterminowanie przestępując z nogi na nogę. – Chodźmy, czekają...

Rezerwista się otrząsnął. Nieważne, pomyślał. Pewnie jakieś niedobitki, uznali, że w kupie bezpieczniej, a przynajmniej różniej. Przenocuje i rano wyruszy. Jeśli uda starego pierdołę, nie będą nalegać, żeby się przyłączył. Uśmiechnął się zdawkowo. Tak po prawdzie nie trzeba nawet udawać.

Chłop jego uśmiech potraktował opacznie.

– Widzi pan kapitan! Nie ma to jak na swojaków trafić.

Żołnierz pokiwając głową, ruszając w kierunku ciemniejących niedaleko budynków. Nie miał ochoty na sprzeczkę.

\* \* \*

To nie była grupka rozbitków z frontu ani banda maruderów, którzy korzystając z walącej się w każdym rowie broni, postanowili zadbać o własne interesy.

Gdy przekroczyli następne ogrodzenie z zardzewiałego drutu kolczastego, obejście wyglądało na wymarłe. Nie przywitało ich szczekanie psa, z pustego otworu budy zwisał tylko łańcuch. Wiejskie kundły też padły ofiarą wojny. Patrole strzelały do waleśających się psów. Obawiano się epidemii, zbyt wiele ciał pogrzebano płytko na polach i w lasach. Albo w ogóle nie pogrzebano. Reszty dokonywali sami chłopci, aby szczekanie nie zdradzało zamieszkaną sadyb.

Okna niskiej chałupy z belek na zrąb były ciemne. Dopiero gdy wytężył wzrok, dojrzał w jednym z nich słaby czerwony odbłask żaru bijący spod kuchennej płyty.

Gdy znajdowali się w połowie podwórza, skrzyknęły drzwi.

– Stój, kto idzie? – padło z ciemnej sieni, poparte wyraźnie słyszalnym w ciszy wieczoru trzaskiem zamka.

Rezerwista zamarł, zatrzymał się w pół kroku, omal nie wpadając na leżące w trawie zardzewiałe, niezidentyfikowane narzędzie rolnicze. Chyba bronę. Chłop nie stracił rezonu.

– Swój... – Nie był specjalnie oryginalny.

Ciekawe, za którym razem jego zwykła odzywka nie wystarczy, pomyślał mimochodem oficer.

– Pan tak nie stoi, panie kapitanie. – Chłop się odwrócił. – Do chaty proszę...

Z ciemnej czeluści sieni błysnęło światło z osłoniętej dłonią latarki. Oświetliła na moment oficera i prześlizgnęła się po twarzy chłopca, aż oślepiiony zakrył dłonią oczy.

– Przecie mówię, swój! – zdenerwował się chłop. – I zagaś to! Zobaczą i...

Skryty za snopem światła wartownik zarechotał.

– Zagaś te baterijke, psiamac! Wszystkich nas przez to...

– A nie bój się, gospodarzu. – Wartownik zaśmiał się jeszcze głosem. – Oni jak mysz pod miotłą siedzą, po zmierzchu ani wyjrzą. Tu nie przyjdą, nie bójcie się, dopiero my do nich...

– Zamknij pysk! – rozległ się głos kogoś starszego. – Przestań dzio-  
bem kłapać i zgaś to!

Wartownik mruknął coś pod nosem. Ale wyłączył latarkę.

– Wchodzić! – rzucił krótko i ostro, chcąc tym tonem pokryć zakłopotanie.

– Pan kapitan pierwszy. – Gospodarz nieoczekiwanie wykazał się dobrymi manierami, wykonując słabo widoczny w mroku zapraszający gest.

Rezerwista zawahał się. Mrugał przez chwilę, czekając, aż oczy przywykną do ciemności. Wprawdzie światło ominęło jego twarz, ale odruchowo spojrzął w stronę latarki. Nie chciał wchodzić pierwszy, nie chciał potknąć się o coś w ciemnej sieni, rozbić głowy o powałę. Poza tym coś tu nie pasowało. To nie było regularne wojsko.

Otwór sieni rozjaśnił chwiejny blask. Ktoś osłaniał dłonią pełgający płomyk. Błysnęła oksydowana lufa karabinka zawieszzonego na szyi wartownika. Rezerwista zmrużył oczy, dostrzegał już szczegóły. Zaklął pod nosem.

Nie było na co czekać, ruszył do przodu. Wszedł do sieni, wartownik odsunął się, salutując do gołej głowy, co wywołało skrzywienie na twarzy tego ze świeczką. Rezerwista wprawił go w jeszcze większe zakłopotanie, niedbale oddając salut. Staął i rozejrzał się.

Niedobrze.